



OIOM I ON

Jarosław Księżyk
Jaroslaw.ksiezyk@outlook.com

Podmiejskie ptaki przelatują nad tarasem i śpiewają wieczorną pieśń godową.

Wiklinowa osłona tłucze się o balustradę, smagana chłodnym wiosennym wiatrem.

Zapalniczka syczy płomieniem i rzuca wąż poświatę na twarz niespełna czterdziestoletniego mężczyzny.

Pies sąsiadów szczeka. Nie podoba mu się albo dym papierosowy albo death metal dudniący z wnętrza szeregowki Janusza, bo tak ma na imię ów mężczyzna.

W końcu słychać namolne pikanie elektronicznego ciśnieniomierza.

Janusz odczytuje na głos:

- 155 na 100, rytm zatokowy. Słabo.

Z urządzeniem na nadgarstku przypala kolejnego papierosa. Unosi się na plastikowym krześle. Rzuca okiem na podjazd, wykoszoną trawę oraz otwartą bramę, która zapewne skrzypi. Tak, jest pewien, że skrzypi, choć basowa muzyka wszystko zagłusza. Nie znosi basów. Jakby mu ktoś wiercił w głowie. Z papierosem w ręce chwytą się za skronie. Gasi, zapala kolejnego, sprawdza, czy na podjeździe pusto, choć oczywistym jest, że usłyszy z oddali, że zobaczy niebieski sygnał karetki, zanim ta zaparkuje pod jego domem.

Przez moment myśli, czy nie zniszczą mu trawnika, ale czym prędzej porzuca tę myśl jako w danym momencie nieistotną. Karci się za nią przez dwa papierosy i jeden utwór. Jako karę wymierza sobie dwadzieścia przysiadów z petem w ustach i ciśnieniomierzem na ręce.

Dyszy ciężko. Opada na krzesło. Włącza pomiar. Urządzenie pompuje, zaciska się na jego chudym przedramieniu, wyświetla wynik. 170 na 110. Tętno 145. Praca nierówna. Lepiej.

Dla pewności jeszcze zapala, pogłównia i jeszcze dorzuca dziesięć przysiadów. Czerwony, z wypiekami, wreszcie zauważa niebieskie światło pulsujące w oddali.

- Nie włączyli syreny - kontestuje z wyrzutem.

Wyrzuca kipy i wpada do wnętrza. Zastyga na moment nad wieżą hi-fi, ale jeszcze zostawia muzykę. Jeszcze podkreca Behemotha. Biegnie do łazienki, wyplukuje usta Listerine. Myje twarz i ręce Manusanem. Podbiega do okna i widzi, jak Renault Traffic z podpisami „Ambulanse” i „P” parkuje. Szkoda, że nie „R”.

Czym prędzej wyłącza muzykę. Zdejmuje ciśnieniomierz i ciska nim do szuflady. Dopija kawę siekierę, o której prawie zapomniał.

Panowie w czerwonych kombinezonach wyjmują torby z auta.

Janusz puka się w czoło, poczuwszy na języku smak kawy. Wkłada do ust trzy gumy do żucia. Następnie ponownie chowa twarz w dłoniach i leci do łazienki po Manusan i Listerine. Wyciera butelki w ręcznik i wraca do salonu, gdzie czekają dwie torby. Na moment zastyga nad nimi. Dwie spakowane torby. Jedna, czerwona, ściśle według instrukcji matki, zawiera bieliznę, ręczniki, szczoteczkę do zębów, mydło w płynie, ręcznik kuchenny, klapki, dwa komplety skarpet, ładowarkę, szlafrok, zatyczki do uszu, optymistyczną w wydźwięku książkę i Manusan oraz Listerine, o którym prawie zapomniał. Drugi pakunek, czarny, skompował sam.

Rozlega się dzwonek.

Janusz podbiega do stołu. Sprawdza uprzednio przygotowaną teczkę z dokumentacją medyczną. Przekłada wydruki z wynikami krwi, tomografii, ręczne zapiski i tym podobne.

Dzwonek dzwoni i dzwoni.

Wszystko jest. Zostawia papiery w nieładzie i biegnie do drzwi. Staje jednak w pół drogi, rozdarty. Co sobie pomyśla, jak zobaczą papiery w nieładzie. Co sobie pomyśla, że nikt nie otwiera.

Serce, na szczęście, o mało nie wyskoczy mu z piersi. Zdyszany podchodzi do drzwi. Drzwi skrzypią, jak brama wjazdowa. Janusz kurczy się w sobie. Światło o temperaturze 2200 kelwinów dodaje wiarygodności wypiekom na jego twarzy.

Sanitariuszy jest przepisowo dwóch. Ratownik-kierowca oraz ratownik-kierownik.

- To pan wzywał pogotowie?

- Tak, zdaje się, że mam atak migotania przedsionków.

Odwraca się i potajemnie wyjmuje gumę z ust, po czym chowa ją w chusteczce.

Oni wchodzi taranem i spychają go w kierunku wersalki. Ratownik nakazuje Januszowi położyć się, samemu rozkładając sprzęt na dywanie. Kierownik siada przy stole, wyciąga tablet i rysik i zaczyna dłużyć formularze medyczne.

Data urodzenia, proszę leżeć, stan cywilny, nie tak energicznie, pesel, niechże pan nie rusza głową, imiona rodziców, proszę się uspokoić, bo badanie nie wyjdzie.

Janusz wodzi oczyma od przenośnego EKG, przez czerwone kombinezony z odblaskami, po torbę z lekami i zimne elektrody, które lądują na jego piersiach.

Kojący chłód. Czy wcześniej były problemy? Tak, ojciec zmarł na atak serca. Podwinę panu spodnie. Dziękuję. Nie pytam o ojca. A to tak, były. Niechże pan nie wierzga. Przepraszam. Jakie dokładnie problemy? Mam migreny. Stąd ta tomografia? Tak. Proszę oddychać miarowo. A z sercem? To tylko predyspozycje. Predyspozycje? Badanie gotowe, ale proszę nie wstawać.

EKG wypływa pomarańczową taśmę z wykresem. Sanitariusze podają sobie tablet, wydruki, kartki, teczkę, strzykawkę.

Uwaga, zaboli. Wkładają mu wenflon. Janusz kręci głową, próbując dostrzec coś istotnego. Łapie kontakt wzrokowy z kierownikiem.

- Proszę mi powiedzieć o tych predyspozycjach.

- Mama codziennie mierzyła mi ciśnienie i...

- I...?

- I... dostrzegła – Janusz gestykułuje ręką. Świeżo założony wenflon kłuje go w żyłę. Chce mu się wymiotować. Opada na poduszkę. – Dostrzegła rosnącą tendencję. Wszystko zapisywała, jest tam.

Kierownik dostrzega szkolny zeszyt z poślizniętymi kartkami w kratkę i myszką Mickey na okładce, a w nim wyniki ciśnienia krwi Janusza, od dziesiątych urodzin począwszy.

- Czy przyjmuje pan jakieś leki? – dopytuje sanitariusz kierownik, kartkując zeszyt.
- Witaminę d, prebiotyki, rutinascorbin, krople żołądkowe, hepatil, Ziola Ojca Grzegorza na zasypianie, witaminę c, witaminę b12, kwas foliowy, olej konopny, olej z rekina i Doppelherz Vital Tonik.

Ratownik-kierownik kiwa głową i drapie się w trzeci podbródek. Prosi kolegę o konsultacje, bliskie konsultacje, szepczące konsultacje. Ratownik-kierowca wstaje z dywanu, gestem dłoni nakazuje Januszowi leżeć, staje przy kierowniku. Medytują nad wynikiem EKG. Szarpana rozmowa unosi się w powietrzu.

No wiesz... nasza odpowiedzialność... dla zasady... 140 to ma być nadciśnienie... a co, jeśli jednak..., że też kurwa zawsze na nas trafi... czuleś fajki?

- To nie ja, to mama paliła – wtrąca się Janusz.

Patrzą na niego ze złością, a potem dopytują nadszpiewanie energicznie, jakby znaleźli rozwiązanie. Gdzie jest w takim razie mamusia, czy jest na górze, czy wyszła, a kiedy wróci, czy może właśnie kupuje coś w aptece dla synusia na niespokojne nogi.

Za to ostatnie kierownik karci kierowcę. Z resztą temat ginie szybko.

- Mama nie żyje – oznajmia Janusz, a następnie dodaje histerycznie, kładąc dłoń na sercu.
- Źle się czuję.

Mdlący ból w żyłę masakrowanej wenflonem dodaje wiarygodności.

Bierzemy go - decydują, a potem zbierają papiery, sprzęty i Janusza. Sanitariusz chwytając jego torby.

- Nie! – krzyczy Janusz, właśnie usadowiony na krześle transportowym. – Tylko czerwona, czarna zostaje – instruuje, a potem coś sobie przypomina i prosi o telefon leżący na wieży hi-fi.

Musi wysłać smsy. A nie mógłby z izby przyjąć? Nie, nie mógłby, bo mogłoby być za późno. Sanitariusze wywracają oczami. Ratownik-kierowca idzie zanieść kłamoty do auta. Kierownik patrzy z mieszanką zaciekawienia i odrazy na Janusza, którego nie słuchają palce i który włącza dyktowanie wiadomości.

- Mam atak związany z sercem. Biorą mnie na OIOM. Jeśli nie wrócę, w czarnej torbie masz instrukcję. Twój numer to 1.

- Mam atak związany z sercem. Biorą mnie na OIOM. Jeśli nie wrócę... Twój numer to 2.

Twój numer to 3. Numer to 4. To 5.

Sanitariusz kierowca wrócił. Wraz z kolegą unoszą krzesło z dyktującym Januszem, który finiszuje na numerze 13. Na koniec nakazuje pozostawić drzwi do szeregówki otwarte. Ponoć nie było go stać na dorobienie kluczy dla całej trzynastki.

Na izbie przyjęć pustki, ziewy, kubki z kawą, formularze, migoczące świetlówki. Wypełniają papiery, biorą dokumentację Janusza, egzaminują z imion rodziców i genealogii chorób rodowych. Wreszcie zanoszą go do obserwacyjnego. Podpinają pod wykresy, alarmy, sygnały. Poją kroplówką, której zimno rozchodzi się po ręce, jakby była obcą.

Janusz widzi reklamę preparatu na nerki i myśli o swoich nerkach. Czuje swoje nerki. Dotyka swoich nerek. A tętno rośnie.

Janusz widzi reklamę stomii i myśli o swoich jelitach, gnijących w nich resztkach pokarmowych, ściankach ulegających perforacji, o skalpeli. Czuje klucie w prawym boku i gazy wzbierające w centrum. Dotyka swojego stwardniałego brzucha. A tętno rośnie.

Janusz widzi reklamę wózków inwalidzkich i odwraca od niej rozkołatany wzrok. W nowym kadrze atakują metalowe stelaże na kroplówki, parawany, wózki na leki, baseny, kaczki, aparatura reanimacyjna na ścianie. Tętno urosło. Niedostatecznie.

Lekarz patrzy na wykresy ledwie przekraczające normę. Janusz na odbicie w szybie drzwi, w którym widzi Izbę Przyjęć oraz nowego pacjenta, pacjenta numer dwa tego wieczora, który drżącą ręką podaje dokumenty w okienku.

Lekarz irytuje się urażony brakiem uwagi.

Słyszysz mnie pan w ogóle? Tak, przepraszam. Proszę odpowiadać na pytania. Tak, oczywiście. Zdiagnozowane choroby. Tak, dyskopatia. Coś jeszcze? Alergia na trawy. Komu udzielić informacji o zdrowiu. Janusz podaje listę 13. Lekarz wpisuje osobę nr 1.

Wreszcie pada: historia hospitalizacji.

Janusz czuje słabość. Widzi pacjenta dwa, który zatacza się, samodzielnie idąc w kierunku obserwacyjnego. Lekarz nie zwraca na tamtego uwagi, za to naciska Janusza.

- Był pan kiedyś w szpitalu?

- Nie – Janusz rumieni się, a mentalnie zapada pod ziemię ze wstydu.

Lekarz notuje i wydyma usta w niezadowoleniu, zaś pacjent numer dwa dochodzi do wejścia do obserwacyjnego. Jego i Janusza dzieli dwa metry. On i Janusz mogliby nawiązać kontakt wzrokowy, co Janusz próbuje zrobić, a co jest niemożliwe, gdyż pacjent numer dwa opiera się o futrynę, potem robi dwa kroki do przodu, leci do przodu, pada na metalowe łóżko, chwyta się poręczy metalowego łóżka, a potem pada u jego kół, powykręcany jak plastikowy żołnierz w rękach dziecka, które sprawdza, czy nogę można wykręcić tak, by dotknąć nią ucha komandosa.

Krwotok! Krwotok! – krzyczą wszyscy na raz i po kolei.

Wtedy Janusz zauważa krew, dużo krwi. Rozpływającą się wokół gumowego kółka wózka inwalidzkiego. Spływającą z po metalowym stelażu. Szukającą ujścia w fugach na podłodze.

Krwotok! Krwotok! - Pielęgniarki zakładają rękawiczki, lekarze szykują długopisy, sanitariusze lecą z zastrzykami, ratownicy z karetki z papierami.

Janusz zostaje sam. Choć jest tak blisko. Janusz odnotowuje każdą kroplę krwi, gdyż jest tak blisko. Zauważa pośpiech, rozbiegany wzrok personelu, zapach kortyzolu unoszący się w powietrzu. Czuje swój zimny pot, a co gorsza, Janusz czuje jeszcze, jest o tym głęboko przekonany, że to właśnie odczuwa, że jego własna krew szuka ujścia z ciała i zaraz wytryśnie, w ten czy inny, a może i bardziej spektakularny niż u pacjenta numer dwa sposób. Przeraza go, że oni wszyscy są do niego plecami. Czuje, że gdyby nawet chciał, nie da rady krzyknąć, nie przekrzyczy tego harmidru, tego gejjera adrenaliny. Że jakby co zostanie sam.

Ma mroczki przed oczami, odpływa.

Pacjent dwa podpięty, położony, otoczony, budzi się. Lekarz decyduje, OIOM chirurgia.

Janusz powtarza jak modlitwę: OIOM kardiologia.

Lekarz wraca z pielęgniarką do Janusza.

Co on taki zielony. Wykresy poza normą. Tętno szaleje. Czyli jednak bierzemy go. Co tylko pan doktor powie.

Janusz ma wysuszone usta. Mimo to stara się podpowiedzieć: OIOM kardiologia.

Lekarz kręci głową. Zajęte. OIOM chirurgia, decyduje nadając decyzji takie głosowe zabarwienie, jak gdyby chciał Janusza ukarać. Nie byłeś nigdy w szpitalu? No to patrz. Tak tego pragnąłeś? No to proszę. Tak przynajmniej odbiera to Janusz, akceptując ten wyrok jako sprawiedliwy i całkowicie zasłużony. Czuje, jak pod ręką, gdzie ma telefon wibrują smsy od trzynastki.

Łóżko Janusza w jednej windzie z łóżkiem pacjenta numer dwa. Pielęgniarki Janusza w windzie z pielęgniarkami pacjenta numer dwa. Zapach strachu Janusza w jednej windzie z zapachem krwi pacjenta numer dwa.

Wkluty, zapięty, położony. Łóżko obok sapiącego dziadygi, wpatzonego w sufit.

„Wszystko będzie dobrze” mówi pielęgniarka, podłączając pas ciśnieniomierza, elektrody kardiogramu, pulsometr na palec i wreszcie podając mu przycisk do jej przywołania. Niepotrzebnie, przecież będzie obok. Przecież OIOM. Przecież Janusz ma widok na jej biurko, stertę papierów, pieczątki, prehistoryczny monitor i lampkę, której ciepłe, wątłe światło będzie mu towarzyszem nocy.

„Wszystko będzie dobrze” mówi pielęgniarka na przekór obowiązkom, praktyce i karbowanej latami grubej skórze, co to nie przepuszcza i nie może, a jednak roni kroplę empatycznego potu, która skapuje na Janusza i koi go.

„Wszystko będzie dobrze” zdają się informować urządzenia. Syk automatycznego ciśnieniomierza cyklicznie nadmuchującego mu rękaw, szuranie ołówka o karty zleceń na leki i zabiegi, piknięcia z monitora, szepty personelu, stojącego się nie zburzyć ten dziwnej homeostazy aparatury oraz oddechów przetraconych, jak siebie i innych nazywa Janusz.

„Wszystko będzie dobrze” nadchodzi w wielu smsach, na które odpowiada tak, jak sobie wymarzył. Zdawkowo, skrótami, z literówkami, z pominięciem polskich znaków, za co dostałby burę od matki, ale jest usprawiedliwiony, gdyż leży plackiem na OIOM i nie wiadomo co z nim będzie, a gramatyka na pewno mu nie pomoże. A odpowiadać tak musi, gdyż niektórzy zdają się nie zauważać powagi sytuacji. To wszystko znowu podnosi mu tętno i wywołuje zmarszczenie brwi u pielęgniarki, która zaznacza coś na jego karcie, a następnie poprawia mu poduszkę.

„Wszystko będzie dobrze” działają zaklęcia. Zasypia na przekór zaduchowi i zapachowi świeżego, rozmokłego kału z łóżka obok, z łóżka dziadygi. Salowe niemal bezszelestnie zmieniają staruszkowi pościel, a Januszowi bezboleśnie zmieniają kroplówkę. Zasypia na przekór pacjentowi numer dwa, którego wwieziono z operacyjnej w puste miejsce naprzeciw Janusza.

Jest po szóstej, gdy unosi się na łokciach, wykręca głowę w poszukiwaniu monitora i o mało nie wyrywa przewodów łączących jego ciało ze światem. W końcu patrzy na wykres zdrowego człowieka i słyszy.

- Dzień dobry. Proszę leżeć. Wszystko jest dobrze, wykresy w normie.

Zostaje pochwalony. Tylko czy on sam czy jego organizm? On, Janusz, zakuty w impulsach elektrycznych mózgu, czy gnijące i na powrót odradzające się mięso, nosiciel Janusza? Zadaje to pytanie, lecz zamiast odpowiedzi słyszy kolejną pochwałę, za chrapanie.

Tak, chrapał, oznajmia mu salowa zmieniająca kaczkę. Oznajmia tak radosnym głosem, jakby był to jej sukces, ich sukces, personelu, całutkiego systemu opieki zdrowotnej. Oto szczęśliwy, uspokojony pacjent, zasypia i chrapie w rytm sapania niedotlenionego pacjenta numer dwa. Bo o kiepskiej saturacji pacjenta numer dwa mówią tego ranka wszyscy.

Janusz siada na skraju łóżka. Podbiegają natychmiast.

- Proszę leżeć, zaraz obchód.

Siada znowu, gdy tylko białe kitle na chwilę wychodzą. Oddycha szybko, robi kilka brzuszków. Wymachuje rękoma, mało nie wyrwijając kroplówki. Nikt nie widzi. Ani zamroczony naprzeciw pacjent numer dwa, ani dziadyga po prawej, wpatrzony w sufit i cieknący ślinę w wyrazie pogardy dla świata i czasu.

Za to ordynator, doktorzy, salowe, pielęgniarki, asystenci, praktykanci. Oni widzą. Rozchwiane wykresy, wypieki na twarzy, przestraszony wzrok. Decyzja, komplet badań.

Janusz, który na chwilę zapomniał oddychać, teraz wypuszcza powietrze z wyraźną ulgą. Spodziewa się natychmiastowej reakcji. Na próżno. Spędza godzinę, dwie, trzy licząc pęknięcia na ścianach, klaski przybijanych pieczętek na papierach, piknięcia aparatury monitorującego oddech pacjenta numer dwa. Nie umie uleżeć. Ilekroć unosi się choćby na łokciach, strofują go. I to z coraz większą złością, gdyż wykresy mu skaczą i badanie będzie niemiarodajne. Które badanie? Kiedy? Nie wiedzą. Albo wiedzą, tylko znęcają się nad nim - domniema Janusz.

Janusz nie rozumie tej obrazu. Przecież to najważniejsze, by jak najszybciej poznać stan jego zdrowia. Przecież po to jest szpital. Przecież chciał, liczył, błagał o badanie zaraz po obchodzie. Sądził, że pojedą z nim, pielęgniarki, lekarze, asystenci, trzymając za ręce, pocieszając, nie umiając ukryć niepokoju, jak lekarz na izbie przyjęć, gdy zobaczył go, całego zielonego. Jak cały personel wokół pacjenta numer dwa.

Gdy w końcu wiozą Janusza, całą trasę z trzeciego piętra, gdzie mieści się chirurgia, do piwnicy, gdzie tomograf, bulgocze w nim złość. Myśli o obrazie, jakiej doznał. Myśli o niej każdą mijaną świetlówkę, plamę na ścianie, łuszczącą się farbę z framug, powiew smrodu z mijanych oddziałów.

Trochę uspokaja go chlor, którego zapach ciągnie od świeżo mytych podłóg i który na chwilę zabija w Januszu inne zapachy i głód i złość. Gdy w końcu kładą go we wnętrzu futurystycznej maszyny, roni łzę. Za domem, kompresem na czole, świeżą pościelą, pomarszczoną dłonią matki.

A potem go porzucają, nic sobie nie robiąc z rosnącego w nim oburzenia, czemu daje wyraz strofując młodą pielęgniarską praktykantkę, odpowiedzialną za przetaczanie jego łóżka. Ta tylko wzrusza ramionami i parkuje go na dawnym miejscu. Na OIOM. Od niechcenia poprawia mu kołdrę, podcina na powrót do aparatury, wbija kroplówkę, po czym już jej nie ma.

Janusz próbuje zahaczyć przechodzącą oddziałową, która rano objęła dyżur i w jego opinii winna jest uczynienia rytuału poprawy poduszki, podarowania uśmiechu i powiedzenia „będzie dobrze”, jak jej nocna poprzedniczka. Ta jednak tylko odburkuje, że później, że ma czekać na swoją kolej, po czym biegnie do pacjenta numer dwa, by podpiąć go do butli z tlenem. Ten ponoć źle zareagował po operacji. Powikłania, mówi młody lekarz, ni to z przejściem, ni to z encyklopedycznym zainteresowaniem. Drapie się po głowie, wychodząc z sali. Całkowicie, dokumentnie i kompletnie ignoruje przy tym Janusza i jego nawoływania: panie doktorze, szanowni panie doktorze, panie kochany.

Narastający gniew daje radę ukoić dopiero wstydem. Gdy koło południa zdesperowany Janusz w końcu używa przycisku przywołania pielęgniarek, staje przed nim korpulentna kobiecina z pytajnikami w oczach. Janusz uśmiecha się, uzyskawszy jej uwagę. Gdy ona pyta, o co chodzi. On pyta, co mówi doktor i czy są wyniki badań. W odpowiedzi otrzymuje energiczny, dwuminutowy wyrzut.

Czy on nie wie, że tu OIOM? Jasne, że wie. Czy on nie widzi, ile ona ma roboty? Tak, oczywiście, widzi. Czy on nie rozumie, w jakim stanie jest pacjent numer dwa, który za chwilę będzie miał drugą operację, bo mu się jelita skleiły po pierwszej? Nie wiedział. Czy on też chce być w tym stanie, bo kusi los, a powinien się cieszyć, że pewnie jutro wyjdzie, bo najwyraźniej nic mu wielkiego nie jest i nie dość, że zajmuje miejsce na OIOM, to jeszcze nadużywa przycisku, a ona jest chwili sama. Tak, znaczy nie, znaczy, przepraszam.

Wstyd i rozczarowanie. Rozczarowanie i rozpacz. Rozpacz i rezygnacja.

Rezygnacja i czas, który zwalnia niemiłosiernie. Wlecze się od obdartego stojaka z kroplówką, leniwie skapujących kropel z jego obiadek, poprzez nieustające smrodliwe gazy dziadygi, aż do plamy z krwi i śluzu, jaki majestatycznie rozlewa się ze źle założonego drenu po prześcieradle pacjenta numer dwa. Wlecze się od kwaśnej woni potu, poprzez duszną krew i mdłą ropy.

Na domiar złego, całkowicie ustają smsy, a kolejne iteracje sprawdzania komórki wprawiają Janusza w czarną rozpacz. Sumarycznie przybyło ich daleko mniej, niż sugerowały wyobrażenia Janusza i oczywista, obiektywna logika sytuacji, a na domiar złego teraz, we wtorek po 14, ustają niemal całkowicie, jeśli nie liczyć osoby numer 5, która jednak nie tyle podnosi go na duchu, co postanawia streścić mu wszystkie swoje problemy zdrowotne, tylko go denerwując, bo co go to w ogóle obchodzi.

Na koniec zaś, nikt, ale to nikt, nie pyta go o czarną torbę. Jeśli nie liczyć głupkowatych wiadomości w stylu: jaka znowu czarna torba? to żart?

Sraka – mówi na głos Janusz po przeczytaniu smsa, a pacjent numer dwa na chwilę zaprzestaje jęków.

Ratunek przychodzi z nieoczekiwanej strony. Janusz, pogrążony w myślach o czarnej torbie, kartkach, zapiskach oraz instrukcja w niej zawartych, skupiony na ponownym prześledzeniu, czy na pewno zamieścił tam wszystko, nagle słyszy miękki głos, podejmujący dialog z dziadygą z prawej strony.

Jak się pan czuje. Stęknęcie. Tylko ostrożnie. Sapnięcie. Pomału. Jęk bólu i wysiłku. Doskonale, co dzień lepiej. Krótki skowyt. Widzi pan, jak dobrze. Widzi pan. Widzi pan.

Janusz też musi zobaczyć. Odwraca wzrok w kierunku dziadygi, jego śliny i jego sinych zmarszczek. Ku zdumieniu Janusza dziadyga ożył w asyście młodego rehabilitanta i chwyciwszy się zwisających ze stelaża uchwytów, w rytm stękania i jęczenia właśnie pionizuje się na łóżku, a żółta ciesz pompowana w rytm wysiłku wypływa spod jego pieluchy, do worka przywieszzonego przy łóżku, a czerwono-żółte gluty bulgoczą w drugim przewodzie, wiodącym spod opatrunków, do plastikowego pojemnika.

Janusza zbiera na wymioty, ale nie wymiotuje, bowiem po pierwsze jego żołądek jest pusty, a po drugie jego wzrok krzyżuje się ze wzrokiem rehabilitanta.

- A pan, jak się czuje?

- Ja?

- Tak, pan. Wczoraj jeszcze tu pana nie było.

Rehabilitant podchodzi do karty pacjenta Janusza. Studiuje kartę pacjenta Janusza. Kiwa głową nad kartą pacjenta Janusza.

Janusz upaja się sekundami uwagi. W końcu odpowiada.

- Bywało lepiej.

Rehabilitant kiwa poważnie głową, następnie wraca do dziadygi, któremu oderwał się wielki plaster na brzuchu, odsłoniwszy cięcia, szwy i ranę toczącą zielonkawą ropę. Janusz dostaje nagłych torsji. Rehabilitant podaje mu torbę na wymiociny. Januszowi pomaga sama hiperwentylacja. Bezsilny opada na łóżko.

Gdy pielęgniarka poprawia opatrunki, rehabilitant ma chwilę przerwy. Zagaduje Janusza.

- Nigdy nie wiadomo, co? Człowiek pracuje, żyje i cyk, nagle OIOM.

Janusz przytakuje skrzątnie.

- A potem różnie może być. Ale u pana chyba wszystko dobrze. Dobrze pan wygląda.

- Dziękuję – kontestuje Janusz, a potem z miną rekolekcjonisty unosi się na łokciach i stwierdza – ale ja jestem gotowy.

- Gotowy?

- No, jakby to się miało skończyć.

- Co pan nie powie – kwituje rehabilitant, po czym wraca do staruszka.

Janusz myśli, że na tym koniec i jest zły i znowu ma większe tętno, ale to nie koniec.

- Przepraszam, że tak pytam, ale co to znaczy, że pan jest gotowy? – dopomina się rehabilitant, zostawiwszy dziadka uwieszonego stelaża łóżka, dla którego same siedzenie wysiłkiem. Samo trzymanie pionu ćwiczeniem.

- Przygotowałem dokładne instrukcje.

- Instrukcje?

- Dla tych, którzy po mnie zostaną. Jest ich trzynastu – ochoczo objaśnia Janusz.

- Co pan nie powie!

- W domu jest torba, czarna torba, a w niej koperty. Każda ma numer, a w niej są instrukcje dla osoby, z tym numerem, żeby wiedziała co robić.

- O krucafuks, a można wiedzieć, tak dla przykładu, co tam jest?

Janusz i jego wykresy nie umieją ukryć ekscytacji. Z entuzjazmem w głosie wygłasza monolog odgrywany latami przed lustrem. O tym, że człowiek nie może zostawiać po sobie rzeczy bez kontroli. Facebooki, Instagramy, konta w serwisach, konta na Olx i Allegro, konta mejlowe, historię smsów, historię na Whatsapp, ma Messengerze, na Tiktoku, nawet na GaduGadu. A wreszcie papierowe listy, stare, wydrukowane zdjęcia, laurki dla dziadków i od siostrzeńców, notatki, bruliony, zeszyty ze szkoły i studiów, a nawet pamiętnik, który kiedyś pisał, ale nie wyrzucił, a wyrzucić będzie trzeba. Nie podobna zostawić tych rzeczy bez niczyjej kontroli. Dlatego ma trzynastu, którzy mają w ściśle określonej kolejności, tu usunąć profil, tam wysłać zgłoszenie o przemianowanie konta na „in memoriam” i dalej go prowadzić w oparciu o materiały pozostawione przez Janusza na osobnym dysku i pieniądze przeznaczone na ten cel. Zaplanowane są miesięcznice, rocznice, wspominki urodzin i dnia na OIOM śmierci. Inni mają tylko, dla przykładu, uruchomić skrypty siejące śmierć niechcianej części jego historii. Bezwrotnie usuwające foldery, uszkodzające zewnętrzne dyski. Jeszcze inni, mają zająć się paleniem i przeżuwaniami przez niszcarki tego co materialne. Inni kasowaniem skrzynek pocztowych. Najważniejsze jednak, że nikt nic nie wie o drugim i nikt się nie może wyłamać. By mieć pewność, skonstruował skomplikowany mechanizm dystrybucji kluczy i haseł. Następny na liście nie może zacząć działać, dopóki poprzednik nie wykona swoich czynności.

- I pan to teraz na szybko przygotował? Przed szpitalem? Niebawale, niebawale.

Janusz marszczy się, napina, krzywi. Nadaje wyraz swojemu niezadowoleniu. Jakie tam teraz. Pierwszą wersję torby sporządził dawno, dawno temu. Wtedy kopert było bodaj pięć i to bez pendrive'ów, bo świat cyfrowy ledwie istniał. To było zdaje się, w ósme urodziny, wtedy, gdy matka w ramach prezentu na pierwszy etap dojrzałości, a trzeba rehabilitantowi wiedzieć, że Janusz urodził się pierwszego września, zamiast tytki pierwszoklasisty, przygotowała mu pierwszą czerwoną torbę. I tu Janusz pokazuje oniemiałemu rehabilitantowi, co ma schowane pod łóżkiem, co jest spakowane, na wszelką możliwą okazję. Od bielizny, po środki czystości.

Ten odpowiada głupkowato. Ten odpowiada obraźliwie.

- Chyba się nie przydała za bardzo na OIOM, co nie? – kwituje, a następnie kładzie dziadkę na przepoconą poduszkę.

Janusz ostentacyjnie odwraca się i pomijając zawieszony w powietrzu przeprosiny, czeka, aż pielęgniarz odejdzie na zawsze, a dziadyga wróci do produkcji śliny i nawilżania nią skraju poduszki.

Janusz jeszcze nie wie, że katastrofa nadejdzie wraz z wieczornym obchodem.

Młody i w opinii Janusza całkowicie ignorancki i niekompetentny lekarz, nawet nie zatrzymawszy się przy jego łóżku, oznajmia, że wyniki są dobre i jutro idzie do domu, a dalej to już u kardiologa w przychodni. Co gorsza, arogant w białym kitlu całkowicie nie reaguje na maszynową serię pytań, coraz głośniejszych wystrzeliwanych przez Janusza w kierunku wszystkich.

Cały personel brzęczy nad pacjentem numer dwa niczym stado pszczoł.

Janusz nie ustaje w pytaniach, które powoli przeradzają się w oskarżenia.

W końcu podchodzi do niego pielęgniarzka.

- Niechże się zamknie, bo dam taką szprycę, że i po tygodniu nie będziesz trzymał zwieracza.

Janusz nie wie, że to wcale nie byłoby takie złe rozwiązanie. Nie wiem, jaka przed nim noc.

Po obchodzie Janusz dostaje cienki rosół i propozycję nie do odrzucenia, którą odrzuca.

Może wstać z łóżka, żeby trochę nabrać sił. Zachęca go pielęgniarka, która proponuje, że odepnie go od aparatury, by poszedł do toalety, by usiadł na krześle na korytarzu, by powłóczył nogami po korytarzu.

Odmawia, grzęznąć w obrazie i niezadowoleniu, wbijając się w poduchę, która odcina go od nietypowej, wieczornej krzątaniny wokół pacjenta numer dwa, od świszczania oddechu pacjenta numer dwa, od alarmów generowanych przez jego pulsoksymetr.

Przekręca się to na jedną, to na drugą stronę, konstatuje szwy koca, który wysunął się z poszwy i drażni jego łydkę, kostki, śliskie od potu stopy. Skupia uwagę na wenflonie, na puchnącej żyłę, na rozlewającym się wokół miejsca wbicia sińcu, na impulsach bólu towarzyszących każdemu, najmniejszemu ruchowi. Nie może znieść metalicznych zgrzytów parawanu, co rusz trącanego przez coraz bardziej nerwowe pielęgniarki.

Gdy w końcu dyskomfort oraz furia stają się silniejsze niż obraz, jest już po osiemnastej i właśnie następuje zmiana personelu. Po-dwunastogodzinna, mająca wszystkiego dość pielęgniarka mówi mu, że odepnie go jej następczyni, która to oznajmia, że trzeba było prosić jej poprzedniczkę, bo ona przecież musi najpierw wypełnić wszystkie papiery i zapoznać się z zaleceniami po obchodzie. A wenflon boli, kroplówka ziele pustką, parawan skrzypi, zaduch tężeje, a szew koca rani psychicznie i fizycznie.

W końcu go odpinają, chyba o dwudziestej. Pielęgniarka przypatruje mu się chwilę, czy stoi i czy aby nie leci. Stoi, choć nogi wiotkie i chybotliwe. Idzie, choć miałby ochotę usiąść w kącie i schować twarz za przedramionami. W toalecie patrzy na swoje odbicie w popękany lustrze. Robi sobie selfie i wrzuca wszystkim po kolei. Nieliczni odpisują od razu. Oczywiście zdawkowo. Siada na desce, patrzy na wieszak wiszący ostatkiem sił na jednym gwoździu i stara się myśleć. Ktoś kabinę obok zapala papierosa, taniego papierosa, okropnego papierosa. Janusz musi uciekać z WC. Gnany złością, idzie na koniec oddziału. Staje przy oknach na park, zapadający w ciemnościach. Patrzy na światła karetek odbijające się od drzew, przebijające się między liśćmi. Próbuje myśleć. Przerzywa mu jednak modlitwa, chrapliwa, szarpana, paniczna.

W otwartym pokoju leży starowinka wpatrzona w liche wykresy uchodzącego życia. Nie umie trafić dłonią do dłoni, by modliło się też ciało, nie tylko dusza.

Boże uchwaj. Panie, nie zabieraj. Dzieci, przyjdźcie.

Janusz kaszle głośno oznajmiając starowince swoją obecność. Raz, drugi, trzeci. W efekcie tamta zamiast prosić, zaczyna błagać wszystkich bogów po kolei.

Ucieka bliżej OIOM i zajmuje krzesło obok przedpotopowej lodówki. Patrzy na zawiasy drzwi chłodziarki, na reklamę NFZ na ścianie i próbuje myśleć.

I wtedy zaczyna słyszeć, jakby ktoś włączył mu słuchawki. Jęczenie, metodyczne, tantryczne. Jęczenie unoszące się z jednego pokoju, a następnie z drugiego. Jęczenie o amplitudzie bólu, to narastające, to słabnące, sunące korytarzem niczym potok. Jęki, jedne z drugimi, przeradzają się w lament na kilka głosów, to zgrywających się w jedną pieśń cierpienia, to rozchodzące się w solówki na męczeństwo.

Zasłania uszy, co niewiele daje, bo oprócz lamentu słyszy wtedy wewnętrzny głos zawodu. Ucieka na OIOM. Drżącymi rękoma chowa koc z powrotem do poszwy, kładzie się na znak i nerwowo przebiera nogami i czeka na ponowne podpięcie, które nie następuje i nie następuje i nie następuje, aż następuje konsylium nad pacjentem numer dwa.

Wtedy Janusz choć nie chce, to słyszy, najpierw poważny głos lekarza, że pana podepniemy, żeby się lepiej oddychało i że pan będzie spał i czy się zgadza. Słyszy nawet na chwilę mocniejsze dyszenie, zinterpretowane przez personel jako zgodę. A potem zaciska powieki najmocniej jak może, aż oczy bolą, przez co jeszcze głośniejszy słyszy skrzypiące kółka wtaczanego do sali respiratora, radosne pikanie jego automatyki, syk podpinanego do urządzenia tlenu, aż wreszcie wydaje mu się, że słyszy przebijaną tchawicę pacjenta numer dwa. A już na pewno słyszy nerwowe, podniesione głosy.

Uważaj! Nie uszkodź krtani. No i jak to zrobiłaś? A ty co, nie patrz się, tylko podpinaj do tlenu. Czy to gówno w ogóle działa? Gdzie podpiąć? Poczytaj instrukcję. Skąd to w ogóle mamy. Z magazynu? To jeden z tych kupionych w pandemii. Ja pierdołę.

Janusz unosi się na łokciach, bo musi zobaczyć, bo nie może nie zobaczyć. Palców u stóp pacjenta numer dwa, które w bezruchu wystają ponad ramę łóżka, a nad którymi dzieje się nerwowe przepinanie, podpinanie, przekręcanie i podłączanie. Ktoś mówi „kurwa 80”, ktoś inny wtóruje, że 82, ktoś inny liczy czas, od kiedy owe 82. Głośno, wszyscy razem, odczytują wskazania aparatury, a głosy ich układają się w modlitwę o rosnącej amplitudzie, o charakterze matematycznego ciągu. Gdy wymawiają dziewięćdziesiąt, Janusz przypomina sobie pouczenia matki, że saturacja poniżej 90 to niedotlenienie mózgu. Prosiła go, żeby regularnie sprawdzał saturację. Żeby zawsze miał ze sobą saturator w szkole i sprawdzał ją też kolegom i koleżankom.

Zawraca mu się w głowie. Jego mózg wyobraża sobie niedotlenienie samego siebie, we wszystkich detalach.

W końcu anestezjolog i większość pielęgniarek przerywają recytację i odchodzą, a pomieszczenie wypełnia złowieszczy i całkowicie dominujący koncert dwóch dźwięków, świst mechanicznej turbiny i bezduszny pisk towarzyszący każdemu powtórzeniu. Dominują one do tego stopnia, że całkowicie zagłuszają chrapanie staruszka z łóżka obok i klepanie oddziałowej w klawiaturę. Dźwiękom wtóruje zapach, jakby ozonowy, chemiczny, tak różny od biologicznej mieszanki wyziewów trawiających OIOM.

Wtedy nareszcie znowu zostaje podpięty. Przejęta, spocona pielęgniarka jeszcze bardziej rani jego wklucie i czym prędzej wraca do respiratora.

Ciśnieniomierz pompuje ramię Janusza. Pompa respiratora pompuje klatkę piersiową pacjenta numer dwa.

Kolacja ścieka w kroplówce Janusza. Anestezjologiczna mieszanka ścieka po kroplówce pacjenta numer dwa.

Janusz patrzy na zegar, na wskazówki, które akompaniują z rytmiką pompy respiratora. Ucieka wzrokiem ku wiecznie wyłączonemu TV, lecz widzi na nim odbicie z lotu ptaka łóżka pacjenta numer dwa. Biel aparatury, pomysł metalu, bladeść nielicznych skrawków człowieka spod tego wszystkiego.

Janusz czeka, sam nie wiem na co.

W końcu unosi się na łokciach i patrzy na intubowanego. Wodzi po jego nieruchomych dłoniach, po jego brwiach i rzęsach, nad maską i rurką wystającą z szyi. Myśli o tym, że to zupełnie normalne rzęsy i brwi, normalne uszy, normalne ręce i normalna szyja. I że te usta, pod plastikiem wtlaczającym powietrze, jeszcze wczoraj z wykorzystaniem tego samego powietrza rejestrowały swojego właściciela na izbie przyjęć, jako pacjenta numer dwa. Janusz patrzy, myśli, patrzy i drętwieje, patrzy i czeka. Aż zdaje sobie w końcu sprawę, na co czeka. Na kciuka w górę czeka. Na mrugnięcie czeka. Na znak, że wszystko ok i git i fajne to powietrze z maszyny, takie otrzeźwiające.

Zamiast tego doczekuje alarmu. Głośnego, morderczego, piskliwego.

Zlatują się, niczym rój owadów.

Znowu 80. Czy to gównu w ogóle działa? Janusz opada na poduchę. Patrzcie, wyświetla jakiś komunikat. To chyba po angielsku. Janusz słucha łamanej angielszczyzny. Przegrzanie pompy, kurwa mać. 78, ludzie, róbmy coś! Janusz robi coś. Myśli o przegrzaniu pompy, wybuchającej pompie albo o pomnie, która zmieniona w ssawkę, wysysa powietrze, płuca i życie z pacjenta numer dwa. Róbmy coś!!!

Zrobili. Włącz, wyłącz, reset. Potem zamiana rurek. Pierwszą w tlen, zamiast drugiej, drugą w usta zamiast trzeciej, trzecią w dół urządzenia, zamiast czwartek, która w dół.

Alarm przestaje alarmować, za to pikanie zaczyna odmierzać sztuczne oddechu.

Wznawiają modły. O wielka medyczna elektroniko, pomóż nam. 80. O cudzie technologiczny importowany, tłocz. 81. O życiodajny plastiku z pompką, daj z siebie wszystko. 84.

Gdy tylko zbliżają się do 90, rozchodzą się pierwsi w akompaniamencie krytyki. Przy czym krytyka dotyczy systemu, technologii i całego tego szajsu, a nie ich samych. Na krytykę względem ich samych przyjdzie jeszcze czas.

Nie dają rady odejść daleko, gdyż alarm. Przegrzanie pompy. Awaria pompy i w ogóle nieprawidłowe to i tamto. Janusz, spocony, zimny, niczym ryba wyciągnięta na brzeg, na podstawie ich wrzasków rysuje w głowie schemat urządzenia i ego po kolei ulegających awarii komponentów. Mogących i chcących zabić jego rybopodobne ciało.

Znowu zaciska powieki, na ich ekranie widząc jak respirator, napędzany siłą tlenu ze ściany, podjeżdża do niego, przyssiewa się do jego niemytej, zimnej, mokrej, pachnącej strachem i lekami uchodzącymi z ciała stopy, a potem ssie, ssie i ssie.

Decydują się na zmianę respiratora. Elektroniczny morderca w akompaniamencie liczby 76 jest pośpiesznie wyprowadzany z OIOMu, a na wolne miejsce pojawia się jego lśniący, nowy, zmagazynowany w pandemii kolega, który rurkami, tym razem w innej konfiguracji podpina się do ciała pacjenta i szpitalnych instalacji, a następnie miarowo, mechanicznie, nieludzko, zaczyna pompowanie.

Już się nie modlą. Tylko od czasu do czasu, ktoś rzuci jakimś, 86, czy 85. A Janusz wyobraża sobie wskazówkę sunącą po tarczy jakiejś staroświeckiej aparatury, gdzie za liczbą 90 jest zielone pole, a poniżej jej czerwone.

Do zieleni nie dochodzą, gdyż alarm. Przegrzana pompa. Wezwij pomoc techniczną. Zbiegają się, niczym mrówki do truchła. I oskarżają. Siebie. Na pewno źle podłączyłeś. Te rurki to odwrotnie. A może coś trzeba ustawić. Faktycznie gorące jest, idiotko. Przecież to musi działać, to my nie umiemy.

Na to ostatnie oburzają się wszyscy. Jednak to nie oni. To producent.

Janusz nie wytrzymuje, unosi się, zrywa elektrody z piersi. Wtedy i jego aparatura, w geście solidarności, wydaje jednostajny jazgot. Oderwana znad drugiego pielęgniarka przerzuca swoją panikę na Janusza, który, który na pytanie, co się dzieje, mówi, że on nie może już nie umie, nie chce i nie da rady i musi wyjść i żeby go odpiąć.

Zdumiewające, jak blisko jest oczom spanikowanym, do wściekłych. Pielęgniarka powala go na poduszkę, przypina elektrody i zasuwa parawan. A on chciał szepnąć, żeby nie zasuwać, ale krzyknął, więc ona wróciła i poprawiła, tak że nie widział już nic, poza bladym palcem u lewej stopy zaintubowanego.

A alarm wyje. A 80 zdaje się dla reszty nieosiągalnym marzeniem. A alarm wyje. I wraca stary morderca z pompką, który daje radę popracować chwilę, zanim znowu się przegrzeje, o czym poinformuje wszystkich mechanicznym piskiem i komunikatem w języku z wysp wygłoszonym przez automat. I odtąd tak się wymieniają w sztafecie, pośród odczytów recytowanych przez pielęgniarki, wrogich warknięć lekarzy i machnięć rękoma. A godziny mijają, jak doby. A minuty jak godziny. A Janusz błąd liczy, do stu, tysiąca, a potem od początku, bo się pomylił. Bo 384 zamieniło mu się w 374, bo saturacja była już 74.

Alarm, świst, stęki, jęki, błagania. Alarm, świst, już tylko 72.

Budzi go uderzenie, wyładowanie, trzask, grom. To defibrylator, wezwany na tortury. To jego maski na piersi pacjenta numer dwa. I mocniej, i jeszcze raz. I palec u stopy, który drga. I mocniej i jeszcze raz. I adrenalina.

I mówią głośno. Co za przeklęta noc. I przelicytowują się, czy była już 6 z przodu, czy to rzecz nowa.

Tymczasem już czwarta. Czas na kolejne konsylium nad pacjentem numer dwa. Zagłuszone świstem pompy i tym okropnym, nieściszonym, szalonym alertem i mechanicznym głosem, że alarm, alarm i alarm. Trzeba coś zrobić.... Za chwilę zamiana... krwotoki ustały przecież... to już sprawa oddechowa... pacjent stabilny... przecież 68, a nawet 72... zamawiać transport... wypisać... raz dwa, zanim znowu...

Nie kończą.

Kończą za to z parawanami i Janusz znowu widzi świat. Odpadającą lamperię, migoczące lampki, szarą pompę i kable, rurki i przewody, wokół pacjenta numer dwa.

Co z nim będzie – pyta, gdy dostaje poranną kroplówkę.

Warzywo – odpowiada salowa, a w kąciку jej oka jest najprawdziwsza łza. A on widzi tę łzę i zapamięta tę łzę. I po niej o nic już nie pyta.

Za dziesięć szósta wjeżdża metalowy prostopadłościan na kołach.

Lekarz wrzeszczy, że trumna to później. Jeszcze nie teraz. Teraz to nosze dawać, a trumna to dopiero, jak już na miejscu, bo mu najebia w papierach.

A potem mówi, już do Janusza. A panu to wypis. Przywieźli ofiary wypadku. Raz, raz, raz.

Janusz wysiada z taksówki jeszcze, gdy taksjarski liczy drobniaki. Drobniaki z czerwonej torby, według wskazówek mamy, mające służyć na szpitalną tv. Taksówkarz, doliczywszy się kwoty, macha mu na pożegnanie. Janusz nie odwzajemnia pozdrowienia, i wcale nie dlatego, że jest oburzony, że go nie odwieźli ambulansem, nie położyli do łóżka i nie przykryli kocem. Takie wizje miewał wcześniej, już nie teraz. Janusz nie myśli również o skrzypiącej bramie, pozostawionej otwartą po wyjeździe karetki. Nie spogląda na matę uderzającą na porannym wietrze o balustradę i nie zauważa ptaków siedzących na rynnie i prowadzących dialog. Nie przeszkadza mu również atak furii u psa sąsiada. A wszystko dlatego, że oczom jego ukazały się ślady ubłoconych butów, prowadzące nie z, a do domu i których z całą pewnością nie zostawili panowie ratownicy, bowiem było wtedy sucho i pamiętał, jak wyglądało obejście, które zostawiał.

Ponadto, drzwi do domku są uchylone.

Rzuca czerwoną torbę na trawnik i biegnie śladem śladów, prosto do salonu, gdzie staje jak wryty, jak oskarżony, jak skazany.

Na środku dywanu walają się koperty. Pierwsza, czwarta, dwunasta. Sięga po pierwszą z brzegu. Były w niej pieniądze na pośmiertny album ze zdjęciami Janusza i wspominkami. Pieniądze zniknęły, wspominki zostały. Sięga po kolejną, z pendrive'em ze skryptami do czyszczenia dysków i instrukcjami, co, gdzie jak odpalić. Pena nie ma, instrukcje zostały.

Siada na fotelu. Chwyta kolejne skrawki papieru. Prośby, punkty, sugestie – podeptane, ale hasła. Hasła zniknięte.

Podskakuje. Siłuje się z drzwiczkami w meblościance. Za nimi ma laptopa. A właściwie miał laptopa. Bo nie ma tam już laptopa. Bo przecież napisał, gdzie ma laptopa.

Pierdołę, kurwa, kurwa! Gdzie telefon. Kurwa. System nie rozpoznał jego palca. Kod, podaj kod. Ręka trzęsie się. Błędny kod. Ja jebię! Spróbuj ponownie za 5 minut. Chodzi od skraju dywanu, do skraju. Nie ma sił sięgać po kolejne koperty. Chowa twarz w dłoniach. Uderza się w czoło raz po raz. Czuje, jak wali mu serce. I co z tego.

Mija pięć minut. Wysiłkiem himalaisty, pomalą, ostrożnie, nie ryzykując porażki, wprowadza cyfry. Działa. Więc czym prędzej do fejsa.

Nie ma fejsa. Nie ma instagrama, nie ma whatsapp. Nie ma niczego. Hasła nie rozpoznane. Odzyskaj hasła. Linki aktywacyjne wysłane na mejla. Logowanie do mejla. Hasło do mejla nie rozpoznane. Podaj kod aktywacyjny. Kod aktywacyjny wysłany na numer telefonu. Nie jego telefonu. Zagraniczny numer telefonu.

Siada na dywanie, z kciukiem nad zieloną słuchawką. Miele w ustach przekleństwa, którymi uraczy rozmówcę. Formuje je w frontalny atak. Wreszcie, wykręca numer. Nikt nie odpowiada. Wykręca ponownie. I ponownie i ponownie. Bateria 10%, mówi telefon. Píše więc mesa: oddawaj mi moje życie, kurwo. Otrzymuje odpowiedź: LOL.

Wtedy Janusz rzuca telefonem przed siebie, sięga po pudełko zapalek, zapala jedną, odpala nią papierosa, zaciąga się i konstataje głośno.

- Mamo, kurwa.

A następnie tę samą zapalką podpala kartę wypisu ze szpitala.